EWOLUCYA GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Trzeciem zaklętem kołem, w którem oprócz męża i dzieci wolno obracać się kobiecie, według teoretycznej formułki określającej jej „naturalne posłannictwo“, jest gospodarstwo domowe.

Wykazaliśmy już dawniej w uwagach naszych: o małżeństwie i macierzyństwie *), sprzeczności jakie zachodzą między teoretycznem określeniem stanowiska kobiety i stosunku jej do „protektora“ mężczyzny, a życiem i to zarówno w klasie zamożnej, jak i u proletaryatu. Dziś chcemy zastanowić się, jak wygląda to gospodarstwo domowe, mające wypełniać całe życie kobiety, poza kilku latami, które poświęca odchowaniu tych dwojga lub trojga dzieci, jakie większość rodzin teraz może lub chce mieć.

Jak ten „przedwieczny“ ideał rodziny, który uważa się zwykle za nieruchome i niezmienne w martwocie swej bożyszcze, pomimo nieustających jego przeobrażeń, tak i gospodarstwo domowe jest zarówno ze wszystkiemi innemi zjawiskami społecznemi tylko przejawem życia, wybiegającego zawsze daleko po za usiłujące ująć je formułki, które zwykle spaźniają się co najmniej o kilka pokoleń ludzkich.

Jeżeli porównamy „gospodarstwo domowe“ kobiety pierwotnej opisane szczegółowo przez Otis T. Masona **) zamieniającej przyniesione przez męża zwierzę na wszystkie możliwe produkta, pożytku czy wygody dla swojej rodziny — z dzisiejszym zakresem działania gospodyni zamożnego domu, nabywającej za gotówkę zarobioną przez męża, wszystko co dla domu jest potrzebnem albo z „gospodarstwem domowem“ robotnicy czy komornicy wiejskiej usiłującej groszowymi zakupami, dać sobie i swoim możliwą ochronę od głodu i zimna, znajdziemy zmianę warunków życia tak olbrzymią, że owo skazywanie kobiety wyłącznie na „gospodarstwo domowe“, kiedy w życiu jej odgrywa ono z lenistwa lub konieczności minimalną rolę, nie daje wcale tej równowagi, tak pięknie wyrażającej się: przedwiecznem zadaniem kobiety, przy ognisku domowem.

---

*) „Nowe Słowo“ Nr. 8 i 11.

**) „Nowe Słowo“ Nr. 7: Wyzwolenie ekonomicznej kobiety.

Praca gospodarcza kobiety pierwotnej i później jeszcze przez wiele tysięcy lat, ściśle związana z ogólnemi warunkami społecznego życia mogła zapełnić jej całą egzystencyę bo była jednocześnie pracą produktywną, wytwórczą. Nie jest nią praca gospodyni dzisiejszej — bo, albo, jak to ma miejsce w klasie zamożnej gdzie utrzymanie rodziny opiera się całkowicie na zarobku męża, kobieta ma tylko nadzór nad pracami wchodzącemi w zakres gospodarstwa i wydaje zarobione przez męża pieniądze, albo jak w klasie robotniczej, kobieta po ciężkiej pracy zarobkowej musi jeszcze dźwigać cały, ciężar robót domowych i to własnemi wykonać je rękami, bez żadnej z nikąd pomocy. Równowagi niema zatem ani w jednym ani w drugim wypadku, bo ciężar utrzymania gospodarstwa domowego czyli dobrobytu rodziny spada o wiele cięższem brzemieniem, w klasie zamożnej na ojca w klasie ubogiej na matkę.

Dążeniem doby obecnej jest przywrócenie równowagi i podziału pracy w rodzinie, a to w sferze zamożniejszej przez wciągnięcie kobiety do produktywnej, zarobkowej pracy, na którą w gospodarstwie domowem, gdzie się nic nie produkuje a wszystko kupuje za gotówkę, coraz mniej jest pola — w sferze robotniczej przez ułatwienie warunków gospodarstwa, a to przez współdzielcze organizacye mające na celu zbiorowemi siłami osiągnięcie znacznie większej ilości pożytku i wygody, niżby to przy tych samych warunkach dla pojedynczych rodzin było możebnem. W tym celu powstają związki współdzielcze spożywcze, i współdzielcze gospodarstwa, zgromadzające przy jednem wielkiem ognisku liczne rodziny, które przy swoich małych zaledwie tlejących kominkach ucztowałyby znacznie gorzej i smutniej.

Niesłychanie szybki rozwój tych stowarzyszeń i ogromna suma korzyści już nietylko materyalnych, ale jednocześnie etycznych i kulturalnych, jakie osiągają — dowodzi, że ewolucya gospodarstwa domowego pójdzie obecnie w kierunku zastąpienia produktów gospodarskich domowych fabrycznymi, oraz skierowawania zaoszczędzonych na tem polu sił do pracy zarobkowej po za domem — celem zaś zdobycia największej sumy pożytku i wygody dla rodziny przy najwyższej wydatności czasu i danych środków materjalnych — zdąża gospodarstwo domowe do zrzeszania się, już to dla poszczególnych wyrobów, już to dla zbiorowego gospodarstwa w stowarzyszeniach spółdzielczych.*)

Marya Turzyma.

---

*) W szeregu artykułów: O stowarzyszeniach spółdzielczych, jakie zamieszcza w piśmie naszem p. Gumplowicz, możemy śledzić nadzwyczajny rozwój tych nowych organizacyi gospodarczych które nie są niczem innem jak tylko wyrazem ewolucyi gospodarstwa domowego. *(Przyp. Red.)*.

Z HISTORYI STOWARZYSZEŃ SPOŻYWCZYCH.

2. Niemcy.

Szybko a stanowczo działał wielki kapitał w Anglii — zwolna, wyczekując, licząc daleko więcej na słabość przeciwnika, niż na własne siły, rozgaszczał się zaś w Niemczech. W Anglii już na początku 19 wieku tak głęboka przepaść dzieliła posiadających od wydziedziczonych, tak doszczętnie na polu produkcyi przemysłowej kapitał usunął drobną własność, że pojawiająca się myśl reform społecznych, obrony uciśnionych, stawiała sobie jasno zadanie obrony interesów „pracy". Mógł tam wyróść już podówczas Robert Owen, który całą pracę swego ducha wytężył w kierunku, w którym znaleść chciał zbawienie dla całej, jednolitej w swym składzie masy roboczej i liczyć się z oporem również wspólnych i tychże samych interesów broniących bogaczy. Mimo swej utopijności „Nowa Harmonia" nosi na sobie wybitną cechę kapitalistycznego środowiska, bolów proletarjatu, wśród którego powstała, a któremu z kontynentu wtórzyły dopiero słabem echem skargi podupadającego rękodzielnictwa. Kwestya społeczna w Anglii w pierwszej połowie ubiegłego wieku to już kwestya stosunku pracy do kapitału, podczas gdy w Niemczech jest ona bądźto jeszcze wyłącznie, bądźto w części znacznej kwestyą *par excellence* drobnomieszczańską, zagadnieniem „być albo nie być", powtarzanem ustami majsterków, zagrożonych i nastraszonych cieniem upiora maszyny, który po przez ocean wyciągał ku nim olbrzymie swe ręce.

Przed powstaniem wielkiego przemysłu swojskiego, Niemcy były już rynkiem zbytu dla produkowanych kapitalistycznie gdzieindziej towarów. Ten sam kapitał, który stwarzał w Anglii proletarjat przemysłowy, w Niemczech współzawodnictwem swem podkopywał byt rzemieślników razem z kapitałem tubylczym. Nędza rzemieślnika wyprzedziła tutaj o parę dziesięciolecí powstanie właściwego proletarjatu fabrycznego i dlatego też myśl współdzielcza która w Anglii ustami Owena głosiła wyzucie pracy z więzów kapitału, w Niemczech stanęła najpierw w usługach zagrożonego drobnomieszczaństwa jako broń w walce z przemożnym przeciwnikiem, lub raczej wał strzegący przystępu do zagrożonych placówek. Jak Owen rozpaczliwe wysiłki robotnika, zwątpienia pełne buntu, groźby bezsilne, po których następywały znów okresy zatapiania się w sekciarstwie religijnem i skupiania sił swoich na długowiekową walkę, i tę całą już wśród ówczesnej struktury ekonomicznej silnie zarysowaną treść nowoczesnych walk społecznych, wziął za punkt wyjścia dla swej utopii biorąc cegiełkę za cegiełką, ze zburzonego w myślach swych gmachu niewoli, by z nich gmach nowy zbudować, tak Schulze z Delitzsch, apostoł współdzielczej myśli w Niemczech, myśl

tę przekształcił i dostosował do własnego środowiska. Rodzinne jego miasteczko Delitzsch kryło w swych murach ubogą rzemieślniczą ludność, wśród której szewcy zwłaszcza, pracujący chałupniczo dla lipskich hurtowników, wryli się obrazem nędzy we wrażliwą duszę młodziana. Usamodzielnienie pracujących na hurtowny zbyt chałupników, silne ugruntowanie niepewnych egzystencyi rzemieślniczych, uprzystępnienie im taniego kredytu, rozszerzenie znajomości dogodnych źródeł zakupna i rynków zbytu, rozbudzenie sił gospodarczych w warstwach zagrożonych, stało się dla Szulcego zadaniem życia.

Dojrzewał on wśród atmosfery lat czterdziestych, wchłonął więc w siebie nietylko skargi upadającego małomieszczaństwa, ale i liberalne hasła, w które drapować się zwykła brzemienna wielkoprzemysłowem życiem burżuazya. Stąd niechęć do wskrzeszenia cechów, do szukania opieki ustawy lub pomocy rządu. Wewnętrzno-polityczne stosunki w Niemczech stwarzały przytem i zaostrzały coraz bardziej antagonizm między rządem a liberalnem mieszczaństwem i musiały Szulcemu, który walcząc duchem w jego szeregach, sercem lgnął do drobnych majsterków i w nich widział jedynych przedstawicieli uciśnionych warstw, (wtedy nawet, gdy lata sześćdziesiąte pomnożyły szeregi proletarjatu fabrycznego i stworzyły w Niemczech nowoczesną kwestyę robotniczą) podsunąć myśl uczynienia samopomocy wytyczną organizacyi, mających przynieść ulgę uciśnionym. Samopomoc wśród rzemieślników mająca ich obronić w walce z kapitałem, to według systemu Szulcego: stowarzyszenia współdzielczo-pożyczkowe, zaliczkowe, magazynowe, i t. d., a w końcu, współdzielczo-wytwórcze, współzawodniczące zrzeszonym kapitałem i zrzeszoną pracą z prywatnym przedsiębiorcą.

Rozgłos pomyślnie rozwijającego się stowarzyszenia „sprawiedliwych pionierów z Rochdalu“ był przyczyną, że Szulce we współdzielczy system swój, zamierzający ku obronie drobno wytwórczych interesów, włączył i stowarzyszenia spożywcze. W roku 1850 założył on pierwsze stowarzyszenie tego rodzaju w miasteczku Eilenburg, inaugurując tem ruch współdzielczo-spożywczy w Niemczech, rozwijający się w owych początkach zwolna bardzo, obcy robotnikom, obojętny mieszczaństwu, wśród którego stowarzyszenia kredytowe gorący za to znalazły poklask.

W roku 1860 Szulce przystąpił do dalszego organizowania związków, będących zrealizowaniem głoszonej przez niego myśli współdzielczej i połączył je w roku 1864 w „Ogólnym związku współdzielczych stowarzyszeń zarobkowo-gospodarczych niemieckich“ („Allgemeiner Verband der auf Selbsthilfe beruhrenden deutschen Erwerbs- und Wirtschaftsgenossenschaften“) do którego przystąpiło 455 stowarzyszeń kredytowych, liczących 135.000 członków, 144 miljonów marek rocznego obrotu (1 marka = 1 K. 20 h.), oraz 38 stowarzyszeń spożywczych, liczących 7.700 członków i 800.000 marek rocznego obrotu. Po latach dziesięciu, a zatem w r. 1874 spotykamy już

w „Ogólnym związku“ (a nienależące doń stowarzyszenia nie zasługują jeszcze na uwagę) — 178 stowarzyszeń spożywczych, liczących 90.000 członków i 22 miljony marek rocznego obrotu. Cyfry te jakkolwiek o rozwoju świadczące, bledną zupełnie w zestawieniu ze świetnym rozwojem stowarzyszeń kredytowych, które w tym samym czasie doszły do potężnej liczby 400 tysięcy! Na całej zaś linii mieszczaństwo nadawało kierunek stowarzyszeniom współdzielczym, czyniąc z nich instytucye świadomie broniących interesów klas posiadających, albo też obliczone na zysk drobno-kapitalistyczne przedsiębiorstwa. Robotnicy przemysłowi stanowili nieznaczny tylko procent członków, przemożną zaś większość, bo 70—80%, rzemieślnicy, urzędnicy, przedstawiciele zawodów liberalnych, i t. d.

Budząca się do życia partya robotnicza zajęła stanowisko obojętne, a czasami nawet wprost wrogie wobec ruchu współdzielczego, na którego czele stał liberalny demokrata Szulce, podkreślając odrębność interesów proletarjatu, którą szukająca sprzymierzeńców w walce z rządem burżuazya, zatuszować się starała. Stowarzyszenia współdzielcze miały, obrazem zgody na polu ekonomicznem, wywołać uczucie wspólności politycznych celów i pod hasłem jedności interesów pracy z kapitałem, pomnożyć liberalne szeregi bitnymi hufkami robotniczymi. Lasalle, którego agitacya zmierzała w pierwszej linii do stworzenia odrębnej partyi robotniczej, świadomej różnic dzielących ją od partyj mieszczańskich, z gwałtownością napadł na Szulcego. By robotników przekonać o bezskuteczności „samopomocy“, narzucanej im za program przez liberalnych i drobnomieszczańskich opiekunów, powołał się na „spiżowe prawo płacy“ sformułowane przez klasyków ekonomii politycznej, według którego średnia płaca robotnika ograniczać się zawsze musi do niezbędnych środków utrzymania, które u danego narodu obyczajowo przyjętymi zostały za konieczne dla podtrzymania życia i wyżywienia potomków. O ile płace się podnoszą, to znaczy przekraczają minimum, stanowi to dla robotników zachętę do zawierania małżeństw, płodzenia dzieci, co znów powiększa podaż rąk, i obniżenie się płac do owego minimum prowadzić za sobą musi. Wszelkie wysiłki robotnicze zmierzające do polepszenia bytu na gruncie obecnego ustroju społecznego, rozbijają się o to okrutne „prawo“ i spełznąć muszą na niczem. Stowarzyszenia spożywcze wyłomu w „prawie“ tem nie czynią. Rozszerzenie ich obniża koszta utrzymania robotnika, a zatem i dyktowane przez nie minimum płacy, a oszczędność przy zakupach, zysk robotniczego konsumenta, przyprawia go w kapitalistycznej gospodarce o utratę odpowiedniej części zarobku. Karłowate zaś zrzeszenia wytwórcze, karłowatymi środkami proletarjatu lub zbankrutowanego drobnomieszczaństwa przywołane do życia, są tylko karykaturą prawdziwych zrzeszeń i prawdziwych przedsiębiorstw. Brak w nich solidarności i demokratyzmu i brak materjalnych warunków powodzenia i współubiegania się z kapitalistami o rynki. Usilną swą agitacyą słowem i pismem wyrobił Lassale

taką wiarę w „spiżowe prawo płacy“ nawet wśród tej części robotników, która się trzymała zdaleka od jego „Ogólnego robotniczego związku“, że przyjęto je następnie bez żadnych zastrzeżeń do kompromisowego programu gotajskiego (1875), kładącego kres politycznemu rozłamowi ludu pracującego. Budzenie się świadomości proletarjacko-klasowej w Niemczech łączyło się więc z niechęcią ku stowarzyszeniom spożywczym, w których widziano podarek z nieprzyjaznej ręki, a sfery drobnomieszczańskie, obce myśli organizacyi konsumu, garnęły się doń, zwłaszcza po kryzysie lat siedmdziesiątych opornie dosyć i leniwie. Od roku 1874 do 1880 następuje epoka stagnacyi

Ilość członków w stowarzyszeniach wzrosła w tym czasie z 90.000 zaledwie na 94.000 a obrót z 22 miljonów na 29 miljonów marek. A w Anglii liczyły już podówczas stowarzyszenia spożywcze 547 tysięcy członków i 366,015.000 koron rocznego obrotu!

Wzgląd na interesa małomieszczaństwa, który kierował polityką „Ogólnego związku stowarzyszeń współdzielczych“, wpływał z natury rzeczy niepomyślnie na rozwój stowarzyszeń spożywczych. Zakres ich działalności ujęto w szczupłe granice usunięcia „nierzetelnego“ handlu, tymczasowego zastąpienia detalisty w miejscowościach, przedstawiających dla samodzielnego kupca zbyt małe nadzieje zysku i drobnych groszowych oszczędności. Duszą „Związku“ był przecież Szulce z Delitzsch, rzecznik drobnomieszczaństwa, który wobec niepowodzenia stowarzyszeń współdzielczo-wytwórczych, uważanych przez niego za „koronę“ współdzielczego gmachu, zwiastuna społecznej zgody, całą swą pracę skierował ku wzmocnieniu stowarzyszeń współdzielczo-pożyczkowych, zasilających tanim kredytem podupadające drobne egzystencye. Współdzielczość pojęta przez niego jako ratunek dla warstw średnich i wielka pokojowa manifestacya, trzymała na uwięzi wszelkie w dal zapędy, mogące w skutkach swych stać się groźnymi dla kapitalistycznej gospodarki w której rozpadlinach i szparach, zarówno jak i na szczytach gnieździ się tyle ekonomicznie zbytecznych egzystencyi. Stowarzyszenia spożywcze, krępowane przynależnością do związku, w którym znajdowały cenną bardzo obronę prawną, nie mogły rozwinąć ani agitacyi, któraby ich rozlewność zwiększyła, ani też przejść do organizowania hurtownych zakupów i własnych oddziałów przeróbczych lub wytwórczych. Do połowy lat ośmdziesiątych prowadziły też cichy żywot czysto lokalnych organizacyi zarobkowo-handlowych, wolnych od prześladowań i wrogich napaści, ale też pozbawionych wszelkiego społecznego znaczenia.

A w Niemczech przebrzmiały tymczasem dawno ostatnie drgania kryzysu lat 1873—4. Wielki fabryczny przemysł posuwał się naprzód krokami olbrzyma, stwarzał gęsto zaludnione, czarne od dymu kominów fabrycznych osady i mnożył ludność miast wielkich masą fabrycznego proletarjatu. Wzbogacone i butne potęgą i zdobytym wpływem politycznym wielko-mieszczań-

stwo przestało szukać poparcia u biedniejszej braci, jak ongi u zarania konstytucyjnej ery, dało pokój moralnej robocie łatania społecznych rozpęklin sztucznymi hasłami jedności interesów wszystkich klas produkujących i wysławiania pomostu samopomocy, łączącego rzekomo strome brzegi dwóch obcych sobie klasowo lądów. Poprzestało — bo słowa taniej, bezofiarnej zgody straciły wiarę, bo odpowiadał im już śmiech i przeczenie.

Nastąpiła zmiana taktyki. W roku 1878 proklamowano w Niemczech ustawy wyjątkowe, tłumiące życie polityczne i wolność słowa, tłumiące możność wyładowania opozycyjnej energii, a zatem zdaniem krótkozwrocznych polityków, osuszające samo jej źródło, leżące w pragnieniu polepszenia bytu. Życie polityczne ludu roboczego popłynęło w rzeczy samej teraz sztucznie ściśnionem korytem, ale strata w extenzywności przyniosła ze sobą silniejsze poczucie odrębności interesów, a niemożność rozwijania agitacyi politycznej, kierowała zwolnione tutaj siły na rolę organizacyi zawodowej i gospodarczej. Lud pracujący stwarzać zaczął podwaliny związków zawodowych, a równocześnie garnąć się do stowarzyszeń współdzielczo-spożywczych. Teraz dopiero po raz pierwszy organizowanie siły zakupczej pojmować zaczęto jako wzmocnienie klasowej pozycyi i więcej jeszcze instynktem, niźli rozumem, więcej sercem niżeli głową pojmować jego doniosłe społeczne znaczenie. W niektórych krajach, jak np. w Saksonii, na ożywienie ruchu współdzielczego między robotnikami wpłynęły polityczne pobudki bezpośrednio. Tutaj bowiem partya uświadomionych robotników narażoną była na najdotkliwsze szykany, zmuszoną do prowadzenia walki na wszystkich równocześnie frontach, a sfanatyzowane drobnomieszczaństwo przyłączyło się jawnie do jej wrogów. Myśl, że ci właśnie rzemieślnicy, drobni kupcy i kramikarze, którzy żyli z robotniczych konsumentów i prawie wyłącznie podtrzymywani byli ich zarobkiem, utrudniają ich ciężkie położenie, popchnąć musiała wobec skrępowania ruchu politycznego, na drogę ekonomicznej walki. Sascy robotnicy, obojętni dotychczas dla ruchu współdzielczego, z zapałem przystąpili teraz do zakładania stowarzyszeń spożywczych, nie przeczuwając nawet, że z groszowych wspólnych zakupów powstaną miljonowe obroty, miljonowe oszczędności, a co najważniejsza, obraz ładu, stworzonego sprężystą i świadomą organizacyą podaży w interesie konsumentów, usuwającą małe i wielkie pasożytnicze egzystencye.

W Saksonii, Turingii, Westfalii i w przemysłowych okolicach nadreńskich powstał teraz silny ruch współdzielczy tem charakterystyczny, że nie nadwyżka ale organizacya, nie doraźne polepszenie bytu, *ale stworzenie podwalin, na których przez uzyskaną znajomość targu i zapewnienie sobie zbytu oprzeć mogłaby się następnie współdzielcza produkcya*, było myślą przewodnią coraz to liczniejszych członków. Czas ustaw wyjątkowych (1878 — 1860) tchnął w ruch współdzielczy w Niemczech doniosłą myśl społeczną o tak

wielkiej sile agitacyjnej, że jak tylko przeszło pierwsze odrętwienie, wywołane silnym ciosem, zaczął się ruch ten rozwijać z nieznaną pierwej szybkością.

Do „Ogólnego związku stowarzyszeń współdzielczych należało:

	w r. 1885	w r. 1891
Ilość stowarzyszeń spożywczych:	162	302
Ilość członków:	120.150	229.126
Obrót roczny:	35,136.555 m.	63,292.875 m.
Nadwyżka:	3,026.795 „	5,339.080 „

C. d. n. *Helena Gumplowicz.*

Z DZIEJÓW RUCHU KOBIECEGO WE FRANCYI.

CIĄG DALSZY.

KOBIETY PODCZAS RESTAURACYI. — PIERWSZY MANIFEST KOBIECY. — PISMA KOBIECE. — ZGUBNY WPŁYW SAINT-SIMONA. — SAINT-SIMON I PANI DE STAËL. — „OJCIEC ENFANTIN. — RODZINA MENILMONTANT. — OFIARY SAINT-SIMONIZMU. — KILKA KOBIET SILNYCH.

Dopiero podczas Restauracyi powzięły kobiety poważnie obmyślany plan emancypacyi i wydały manifest, który, jak pisze historyk owej epoki był aktem najbardziej ciętym, najdobitniejszym i najśmielszym buntem, sformułowanym kiedykolwiek przez płeć piękną. Manifest zwraca się już do ogółu kobiet i wzywa je do oporu czynnego i biernego, który jest niezbędnym jeżeli ma być uskutecznioną reorganizacya społeczna. Opór czynny odbywać się winien zapomocą prasy i dyskusyi. „Rzućmy w obieg tysiące dzieł i pism przeznaczonych do rozpowszechnienia świętej sprawy emancypacyi kobiecej.... W publikacyach peryodycznych starajmy się wykazać światu niesprawiedliwość mężczyzn w obec płci naszej.... Połączmy nasze siły, potrzebnem jest dla sprawy naszej wielkie poświęcenie i zaparcie się samych siebie, współdziałanie umysłów oświeconych i znaczne środki pieniężne, których dostarczyć winny te z pomiędzy nas, które posiadają fortunę a zużytkowywały ją dotad na marności światowe“.

Oto główne ustępy z tego manifestu w którym z jednej strony objawia się już dokładne zrozumienie potrzeby solidarności i współdziałania wszystkich czynników będących w mocy kobiet, z drugiej zaś strony odzywa się w nim już ton nienawiści ku rodowi męskiemu która później, sztucznie spotęgowana przez feministki angielskie zepchnęła ruch kobiecy na manowce.

Powstawały też już pisma redagowane przez kobiety jak: „La Tribune des femmes“, „Le Conseiller des femmes“, „La Gazette des femmes“ etc.“ Redaktorka tego ostatniego pisma przedłożyła parlamentowi petycyę, żadającą reformy paragrafu 5-go ustawy z r. 1825, wedle którego kobiecie nie wolno być prawną przedstawicielką pisma.

W tym to czasie rozpoczyna się działanie Saint-Simona, tak fatalne dla ruchu kobiecego. Przeciwnicy feminizmu i ludzie złej woli wyzyskali

błędy i mrzonki jakim oddawali się zwolennicy i zwolenniczki sekty społeczno-religijnej założonej przez Saint-Simona i jego następców Bazarda i Enfantina ażeby wszelkie dążenia kobiece poniżyć i na szyderstwo wystawić. Wiele też ludzi nie należących do hierarchii Saint-Simonistów, przywłaszczało sobie tylko tę lub ową, bez objęcia całości źle zrozumianą doktrynę, i propagowali ją z fanatyzmem, który czasem najfatalniejsze pociągał za sobą skutki, jak samobójstwa, morderstwa pominąwszy już częste konflikty z prawem i władzą. Ta zagmatwana przędza, na którą składały się prawda i fałsz, oburzenie szczere i złośliwość ludzka, stanowiła oponę, po za którą postać Saint-Simona, tak zajmująca dla psychologa i socjologa, przybiera fantastyczne kształty. Podobnie też legenda o Saint-Simonistkach zawiera sporo przesady, zgubnej dla pamięci wielu kobiet, których nazwiska przeszły do historyi, a między któremi znajdują się kobiety szlachetne, męczenniczki idei przez się ukochanej.

Za zasługę zatem poczytać należy autorowi francuskiemu Firminowi Maillard że zebrawszy wiadomości rozsiane po kronikach pism ówczesnych, rozprawach sądowych i t. p. źródłach zestawił bezstronny obraz owej epoki i kilku kobiet które wybitniejszą w niej odegrały rolę. Jego też praca: „La Legende de la femme emancipée“ (Paryż, Colin) posłużyła za podstawę do poniżej umieszczonych opisów.

Saint-Simon, który w swym wieku dojrzałym miał wielkie znaczenie dla rozwoju wiedzy teoretycznej, ponieważ zrozumiał ogromną ważność nauk technicznych i pierwszy sformułował pojęcie filozofii pozytywnej, którą August Comte później rozwinął w system, w praktycznym zaś kierunku był inicjatorem socjalizmu i cieszył się tak wielkiem poważaniem w świecie naukowym, że dwaj najwięksi uczeni francuscy August Comte i Augustin Thierry byli jego sekretarzami i wspólnie z nim pracowali nad wielką encyklopedyą nauk pozytywnych — w późniejszym wieku popadł w mistycyzm i marzył o założeniu sekty społeczno-religijnej. Dawni przyjaciele jego i ludzie nauki opuścili go, a w praktycznem przeprowadzeniu swych mrzonek Saint-Simon stracił majątek i zdrowy pogląd na świat i ludzi. Przez rok jeden oddawał się eksperymentom i studyom natury ludzkiej; przyjmował więc w swem mieszkaniu przy ulicy Vivienne ludzi najrozmaitszych sfer towarzyskich, wydawał obiady i wieczory i zezwalał na zupełną swobodę zachowania się która czasem dochodziła wprost do scen anakreońskich. Saint-Simon sam siedział w fotelu, spokojnie, nie biorąc wcale udziału w zabawie ani w rozmowie i tylko pilnie notował wszystko w pamięci przygotowując się do przekształcenia rodu ludzkiego.

Chciał także przeprowadzić eksperyment z małżeństwem; wychodząc z zasady, że dwoje ludzi nadzwyczajnych płci odmiennej, winno się połączyć aby „zrealizować“ wyższy osobnik ludzki, rozwiódł się z swoją żoną z którą nie miał dzieci i którą uważał za umysłowo niższą od siebie, i zapropono-

wał małżeństwo pani de Staël. Ona jednak miała o kwestyi tej inne zupełnie pojęcie i małżeństwo wedle niej, jest to wynalazek szczęśliwy, który nawet bez pomocy uczucia łączy w jedno dwa egoizmy. Z tej — i z innych zapewnie przyczyn, dała odkosza Saint-Simonowi. W religijno-społecznej doktrynie Saint-Simona oswobodzenie kobiety dość ważne zajmowało miejsce. W przeciwieństwie do starożytności, która z kobiet uczyniła niewolnice i do chrześciaństwa które otaczało je tylko opieką, Saint-Simonizm chciał kobietę uczynić zupełnie wolną i niezawisłą. Po śmierci Saint-Simona uczniowie jego podzielili się apostolatem: Bazard został szefem dogmatu, Rodrigues szefem kultu a Enfantin szefem religii. Ten ostatni też głównie rozwinął objętą po mistrzu misyę oswobodzenia kobiety.

„Mężczyzna i kobieta — głosił on — stanowią razem indywiduum społeczne; kobieta jednak jest jeszcze niewolnicą, i należy ją dopiero wyzwolić. Zanim przejdzie w stan równości w obec mężczyzny, musi mieć swoją wolność (!) Naszem zadaniem jest urzeczywistnić dla Saint-Simonistek ten stan wolności niszcząc ustanowioną obecnie dla mężczyzn jak i dla kobiet hierarchię i czyniąc je wedle prawa równemi.... Moje słowo jest słowem mężczyzny, który jest poprzednikiem kobiety.... mojem zadaniem przygotować wyzwolenie kobiety przez kobietę....“

Zapowiada zatem Enfantin przybycie kobiety-Mesjasza; w przyszłości Kobieta-mesjasz z Mesjaszem-mężczyzną utworzy świętą parę (le couple sacerdotal) w której ręce społeczeństwo złoży zadanie kierowania i humanizowania związków między mężczyzną i kobietą. Związki zaś te dzieli na dwa rodzaje: jedne oparte na „głębokich uczuciach“ o przywiązaniu stałem do jednej osoby a drugie oparte na „żywych uczuciach“ (affections vives) dopuszczające zmiany.

Doktryny te zyskały wprawdzie w pewnym czasie gorliwe zwolenniczki wśród kobiet skłonnych do mistycyzmu lub namiętnych — a wiemy że jedno z drugiem często idzie w parze, z drugiej jednak strony wywołały one też energiczne protesty w gronie samychże kobiet. Zarzucano apostołowi, zwanemu powszechnie „Père Enfantin“ — zupełnie słusznie że demoralizuje kobietę, wyzwalając jej namiętności zamiast jej duszy; że wolność nie może wyprzedzać równości, bo istoty nieprzygotowane dostatecznie nie potrafią należycie korzystać z wolności; że tylko niektóre kobiety silne i nadzwyczajne mogłyby odnieść jakąś korzyść z tych nowych zasad, dla przeważnej zaś ilości postępowanie wedle tych zasad stałoby się drogą do nieszczęścia. W istocie też utalentowana autorka Daniel Stern opisuje los niektórych kobiet nieszczęśliwych, które przejęły się zasadami Saint-Simonizmu. „Niezrozumiały one tajemniczego znaczenia niektórych formułek, a umysł ich zachwiany był ceremoniałem, w którym główną rolę odgrywał magnetyzm; musiały też ciągle odbywać walki z własnym rozsądkiem i delikatnością. Wiele z nich po boleśnych przeprawach wewnętrznych powra-

cało na łano kościoła katolickiego; inne znów słabsze, lub zuchwalsze kończyły samobójstwem“.

Gdy oburzenie przeciw sekcie wzrastało, a potwarze się mnożyły utworzyła wielka ilość członków związek „la famille de Meuilmontant“; tam żyli w celibacie aby dowieść światu, iż idee ich o małżeństwie i o emancypacyi kobiet nie są wynikiem zmysłowego epikureizmu. W r. 1832 doszło do tego iż sekcie Saint-Simonistów wytoczono proces. Wtedy cała „familia“ gremialnie zeszła ze wzgórza Menilmontant, idąc z wysoko wzniesionemi głowami i skrzyżowanemi na piersiach rękoma w pośród tłumów publiczności, która z ciekawością przyglądało się pięknym kostjumom apostołów, do których rysunków dostarczył Reymond Bonheur ojciec słynnej malarki Róży Bonheur. (Kobiety przy wszelkich ceremoniach publicznych jak święceniach, pogrzebach itd. ukazywały się w białej szacie przepasanej szarfą fioletową) Proces ukończył się skazaniem Ojca Enfantina a wyrok ten był oficyalną śmiercią Saint-Simonizmu. W rzeczywistości jednak sekta istniała jeszcze przez czas dłuższy a kobiety spiewają hymny na cześć Ojca męczennika, sławiąc go jako Zbawiciela kobiet i prawdziwego apostoła równości społecznej.

Familia z Meuilmontant cofnęła się do Lyonu a jeden z uczniów Enfantina, Barrault założył „Le Compagnonnage de la femme“ i przedsięwziął, zasiągnąwszy na ten cel pozwolenie Ojca Enfantin z towarzystwem tem podróż apostolską na wschód, przyczem przebywał wszystkie główne miasta na południu Francyi. Wszędzie poprzedzała ich odezwa, głosząca oczekiwanie przybycia „kobiety - mesyasza która strumieniami miłości zaleje świat cały“. Przyjmowano ich najczęściej z objawami ciekawości, tu i ówdzie z radością i zachwytem, dochodzącym czasem do delirium, nie rzadko zaś także spotykała ich nienawiść i prześladowanie lub też rozkaz policyjny zmuszał ich do szybkiego opuszczenia miasta.

Bądź co bądź ruch Saint-Simonistyczny obudził na nowo dawne idee o emancypacyi i samodzielności kobiet, które ucichły po epoce rewolucyjnej, a idee te przetrwały Saint-Simonizm. Pomiędzy kobietami, które wyrósłszy ponad Saint - Simonistyczne fantazye domagają się głośno praw politycznych i społecznych dla kobiet, na główną uwagę zasługują: Maria Reine i Joanna Desirée, które założyły pismo p. t. „La Femme libre“. Później tytuł ten zamieniony został na „Femme Nouvelle“, a wreszcie na „Tribune des Femmes“; Adela Miguet, republikanka, domaga się przydzielenia kobietom funkcyi i pozycyi w cywilizacyi; panie Voimér i Lefévre założyły towarzystwo które miało się zajmować specjalnie moralnem wychowaniem kobiety; pani de Saint-Amand wydała odezwę do kobiet celem założenia, „Towarzystwa praw kobiecych“. Towarzystwo to miało wystosować adres do „wszystkich parlamentów, królów i rządów“ żądający udzielenia kobietom praw cywilnych, religijnych i politycznych. Adres ten winien był przekonać panujących, że wszelkie reprezentacye narodowe są niekompletne, jeżeli wyłącznie

składają się z mężczyzn. Towarzystwo nie ukonstytuowało się z braku funduszów.

Wszystkie te kobiety przyznawały się wprawdzie do sekty Saint-Simonistów, przyjmowały zeń jednak tylko rozumniejsze i umiarkowane zasady a prócz tego miały w duszy swej jeszcze zasób religijności. „Kobieta nowa — mówiły do swych towarzyszek winna być religijna i moralna; przychodźcie do nas, bo Bog jest tam, gdzie spełnia się dzieło społeczne. (D. c. n.)

Dr Felicya Nossig.

KORESPONDENCYA Z POZNANIA.

Kiedy w kole moich najbliższych objawiłam zamiar napisania do „Nowego Słowa", zdziwienie było wielkie.

„O czem ty pisać chcesz z tego partykularza? Przecież tu wszystko śpi — no, a ruch kobiecy, zbudzony przed kilku laty, jak owa zaklęta królewna pocałunkiem wielkiego wiecu kobiet, zasnął znów rzetelnie, nie daj Boże na lat sto".

Odpowiedziałam na to, że jeżeli ruch kobiecy śpi, to go trzeba zbudzić — usłyszałam jeszcze półgłosem wypowiedziane zdanie, ze „nie trzeba budzić licha, dopóki śpi", ale już nie reagowałam na ten dowcip, bo w rzeczywistości kwestya kobieca nie śpi, tak znów zupełnie u nas, a ruch kobiecy, chociaż ma coś w sobie z ruchów żółwia, a często nawet i raka, ale jest i warto mu się czasem przypatrzeć.

Z przyczyn ode mnie niezależnych, nie mogę brać udziału ani w życiu społecznem, ani towarzyskiem, ale lubię życie to obserwować — widzę zatem nieraz, jak kwestya kobieca wkracza gwałtem w nasze życie społeczne a nawet polityczne.

Do takiego spostrzeżenia dały mi okazyą n. p. rozprawy w parlamencie niemieckim nad petycyą domagającą się nowego prawa dla stowarzyszeń i zebrań, jednolitego dla całych Niemiec. Lewica parlamentu, tj. postępowcy, liberalni i socyaliści, oświadczyli się zgodnie za tem, aby nowe prawo nie zawierało żadnych ograniczeń dla kobiet w przeciwieństwie do dotychczasowego prawa, które opiewało, że kobiety nie mogą należeć do stowarzyszeń politycznych, ani też uczęszczać na zebrania, przez towarzystwa polityczne urządzane.

Za wnioskiem lewicy oświadczyło się też o dziwo, i Koło polskie. Mówię o dziwo! boć kiedy przed kilku miesiącami, policya nakazała kobietom wystąpić z towarzystwa „Samopomocy", uważając towarzystwo to, jako polityczne, nie znalazł się ani jeden głos polski, ani w Zarządzie „Samopomocy", ani wśród jego członków, ani w prasie, coby zaznaczył niesprawiedliwość takiego prawa. Zarząd „Samopomocy" ograniczył się tylko na wysłaniu protestu do rejencyi, zaznaczającego że towarzystwo polityką się nie trudni, na Zebraniu, gdzie dokonano wykluczenia kobiet, wygłosił pod ich adresem masę szumnych frazesów, które byłyby wstanie spowodować zaćmienie słońca i na tem koniec. A że i cała prasa zajęła takie samo stanowisko, przeto musiało ustalić się mniemanie, że społeczeństwo nasze uważa współudział kobiet w życiu politycznem za wysoce zdrożny.

Więc prawie oczom swoim wierzyć niechciałam, kiedy czytając mowę posła p. Bernarda Chrzanowskiego, omawiającą stanowisko Koła polskiego w sprawie nowego prawa zobaczyłam następujący ustęp:

„W naszych pozytywnych żądaniach przyłączamy się na razie do wniosków lewicy, na mocy których obie płcie mają być równouprawnione".

Ale oto dalej znajdujemy wytłomaczenie tego liberalnego stanowiska Koła:

„Naszym kobietom winno być przyznane prawo łączenia się w związki celom zwal-

czania pruskiego systemu szkolnego, dążącego do ogłupienia ludności. Wygląda to tak, jakby Koło chciało zastrzedz się, że tylko wzgląd na potrzebę uczenia dzieci polskiego języka, którą to czynność tak chętnie składa się na barki kobiet, a którą władze skłonne są uważać za czynność polityczną, skłonił je do ustępstwa na rzecz praw kobiet.

Zatem Koło, jak widzimy bardzo nieśmiało i z zastrzeżeniem oświadczyło się za rozszerzeniem praw kobiet, a jednak zrobiło ono więcej, niżby może kobiety same żądały.

Do takiego mniemania uprawnia mnie ta okoliczność, że nie słyszałam, aby się nasze kobiety choć trochę zainteresowały tem, że w parlamencie była mowa o nich i o ich prawach. Mamy tu przecież kilka towarzystw kobiecych, które niejako z obowiązku powinny by śledzić sprawy kobiece, ale o ile wiem, w żadnem z nich sprawy tej dotąd nie poruszono. Ciekawa zaiste rzecz, jakie stanowisko zajmą nasze kobiety wtedy, kiedy ich współobywatelki niemieckie wywalczą im prawa polityczne t. j. czynne i bierne prawo wyborcze? Kto dożyje, zobaczy — co może wcale nie długo czekać na to będziemy, gdyż niemki bardzo energicznie pracują, celem urobienia opinii na swoją korzyść. Zwołują wiece, wydają broszury, wysyłają petycye do ministrów i parlamentu, a w pismach swoich nawołują kobiety, aby przez odpowiednie kształcenie się przygotowywały się zawczasu do stanowiska politycznego, jakie im może niezadługo zająć wypadnie. Skutki tego ruchu widzieliśmy właśnie przy obradach w parlamencie, o których powyżej mowa, gdzie kilka bardzo poważnych głosów odezwało się za przyznaniem kobietom pełnych praw politycznych; bardzo być może że wbrew życzeniu cesarza, który skazał kobiety na cztery K. t. j. Kirche, Kinder, Küche, Kleider, społeczeństwo samo przyzna im piąte K. t. j. Katheder czy to parlamentarną, czy uniwersytecką. Nasi politycy, jako szczyt wyłącznie dla nas dostępny wskazuje nam jedno D. t. j. Dzieci!

Jużci chluba w tem dla nas wielka i zaszczyt, że społeczeństwo całą swoją przyszłość składa niejako w nasze ręce, ale dlatego tembardziej nie powinnyśmy ograniczać się tylko na uczeniu dzieci: oświata i uświadomienie jaknajszerszych kół kobiet powinno być naszem zadaniem.

Na tem polu nie działo się u nas dotąd prawie nic; obecnie objawia się jednak jakiś ruch, który być może będzie przełomowym i nada w Poznaniu a może i w całej Wielkopolsce sprawie kobiet o wiele większe znaczenie.

Więc zakłada się Towarzystwo kobiet, zajętych w handlu, Związek zawodowy dla kobiet pracujących w fabrykach a Czytelnia dla kobiet ogłasza, że przyjmuje na członków kobiety pracujące, które za opłatą miesięcznej wkładki 25 fen. będą mogły korzystać z biblioteki, która dla tych właśnie członków otwarta będzie w niedzielę.

Wszystko to są plany nadzwyczaj sympatyczne, a jak się one rozwiną i jaki odniosą skutek nie omieszkam donieść, w przypuszczeniu że czytelniczki Nowego Słowa chętnie usłyszą wiadomości z nad Warty.

D. L.

KRONIKA.

Nowe drogi pracy. W styczniowym numerze „Nowego Słowa" p. J. Brzeziński pomieścił obszerny artykuł o ogrodnictwie, jako o nowej drodze pracy dla kobiet, bardzo mało jeszcze wyzyskanej, szczególnie w Galicyi.

Rozumiejąc doniosłość rozwoju ogrodnictwa, dla kraju, a pragnąc choć w części wynagrodzić brak szkoły ogrodniczej, dającej fachowe wykształcenie, Towarzystwo ogrodnicze w Krakowie zorganizowało przed paru laty wieczorne kursa ogrodnicze, obejmujące najważniejsze działy ogrodnictwa, zarówno w ptaktycznym, jak i teoretycznym zakresie. Kursa to są bezpłatne (płaci się

tylko 2 korony wpisowego). Odbywają się codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od 6—8 wieczorem w lokalu Tow. ogrodn. Gołębia L. 18, parter.

Podajemy tutaj przedmioty wykładów na tych kursach, licząc na szerokie zainteresowanie czytelniczek „Nowego Słowa“:

1. Owocarstwo: zakładanie szkółek, sadzenie, szczepienie, obcinanie i wogóle pielęgnowanie drzew owocowych zwykłych (wysokopiennych), formowanych (karły, palmety i t. d.) wykł. p. dyr. J. Brzeziński.

2. Pomologia: opis, pochodzenie i własności najważniejszych odmian drzew owocowych, wykł. Tenże.

3. Warzywnictwo: hodowla, rozmnażanie i użytek jarzyn i warzyw ogrodowych i inspektowych, wykł. p. Jakimionek.

4. Ogrodnictwo ozdobne: zakładanie i urządzanie parków i kląbów, hodowla i rozmnażanie roślin ozdobnych gruntowych i pokojowych, wykł. p. Klus.

5. Dendrologia: opis i hodowla drzew ozdobnych, wykł. p. Lichański.

6. Gleba i nawozy (powstawanie i różne rodzaje gruntów, racyonalne nawożenie), wykł. p. dr Goliński.

7. Teorya ogrodnictwa (zasady chemii i botaniki niezbędne dla zrozumienia naukowych podstaw hodowli roślin), pasożyty, wykł. p. I. Trzebiński.

8. Wiązanki kwiatowe, wykł. p. Michalska.

9. Rachunkowość w ogrodnictwie, wykł. p. Turski.

W marcu Tow. urządza praktyczne zajęcia dla słuchaczy kursów (na polu dośw. c. k. Uniw. Jagiell. na Prądniku Czerwonym i we własnym zakładzie „Glinka“ tamże).

Wykłady na kursach rozpoczynają się 6. listopada, we czwartek. Zapisy codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, w lokalu Tow. ogrodn., między $1\frac{1}{2}$—$3\frac{1}{2}$ po południu.

A. Trzebińska.

Wydział „Ogniska kobiet“ we Lwowie uchwalił w myśl zadań, które sobie postanowił, zorganizować nauczycielki prywatne całej Galicyi w osobnem s t o w a r z y s z e n i u z a w o d o w e m, którego celem byłyby wzajemna pomoc i walka wspólna o poprawę doli tych pracownic, oddających dzisiaj w stosunkach naszych galicyjskich niepoślednie usługi społeczeństwu.

Szkoła galicyjska o klasach przepełnionych, tak, że nauczyciel nie jest w stanie sprostać swemu zadaniu, liczne miejscowości bez szkół, a miasta nawet bez wyższych szkół, koniecznie domagają się dopełnienie pracy nauczyciela publicznego przez naukę prywatną. Nauczycielki prywatne tworzą też poważny zastęp w Galicyi, który liczy się na t y s i ą c e.

Położenie tych osób jest w przeważnej części nader smutne. Już samo szukanie posady lub lekcyi prywatnej naraża nauczycielkę na straty materyalne i moralne przykrości różnego rodzaju. Pierwszem też zadaniem tego stowarzyszenia, którego statuty już podano do namiestnictwa, będzie utworzenie b e z p ł a t n e g o biura pracy dla nauczycielek prywatnych, a w p i e r w s z y m r z ę d z i e d l a c z ł o n k ó w swoich. Będzie to miało jeszcze i tą stronę dodatnią, że towarzystwo, z n a j ą c członków swych, z tem większą pewnością będzie mogło wybierać nauczycielki odpowiednio na zgłoszone miejsca. *Dr. S. P.*

Szkoła dramatyczna Gabryeli Zapolskiej. Z prawdziwą przyjemnością wspomnieć mi przychodzi słów kilka nowo otworzonej szkole dramatycznej p. Zapolskiej-Janowskiej.

Szkoła istnieje od paru miesięcy zaledwie, ale dotychczasowe popisy dowiodły nam, że praca p. Zapolskiej nie idzie na marne i usiłowania jej przynoszą pożądane rezultaty.

Lekcye, prowadzone według systemu wykładowego w Paryżu, z zastosowaniem w nauce po za istniejącemi arcydziełami klasycznemi, najnowszych zdobyczy w literaturze dramatycznej, dają bardzo poważną rękojmię, że szkoła w krótkim czasie stanie się instytucyą, skąd scena polska czerpać będzie utalentowanych i wykształconych artystów.

Szczerość i prostota — oto zasada, na jakiej p. Zapolska opiera swoje wykłady. Uczniowie i uczennice, którym powiedziano, że dany do wystudyowania wiersz czy rolę traktować należy, jako jeden z epizodów życiowych, muszą starać się o zrozumienie i prawdę, bez której najkunsztowniej opra-

cowana rola, będzie zaledwie słabem odbiciem tego, czem być winna.

Dzisiejsza scena polska uboga jest bardzo. Nasi artyści dramatyczni z wyjątkiem niewielu, których dyrekcye teatralne wzajemnie sobie wydzierają, umieją pozować się efektownie lub w konwulsyjnych łamańcach nerwowego napięcia wyrzucić z siebie kilkadziesiąt frazesów, których forma wypowiadania często bardzo, daje słuchaczom słabe zaledwie pojęcie tego, co autor chciał powiedzieć.

Ale ci sami artyści, wobec tragedyi Słowackiego i Szekspira staną bezradni, jak żaki, nie umiejący rozwiązać zbyt trudnego na ich umysły zadania, albo, jeżeli dyrekcya pragnie z siłami, jakie ma, wystawiać dramaty poetyckie, aktorzy „kwestye“ swoje wypowiadają tak, że najpiękniejsze momenty giną, zatracone w zupełnem niezrozumieniu roli.

Teatr, to przybytek, gdzie zbierają się tłumy, aby na godzin parę oderwać się od prozy codziennego życia, aby odetchnąć głębiej i szerzej, pokrzepić ducha u źródła poezyi i prawdziwej sztuki i zrozumieć w żywem słowie to, co może dla wielu umysłów nie dosyć jasno uwypukla się w czytaniu danych utworów.

W interpretacyi scenicznej trzeba dać człowieka, który naprawdę cierpi czy się raduje, kocha czy nienawidzi, błogosławi czy przeklina.

Trzeba rzucić słowo, które krew w żyłach zetnie i przyspieszy uderzenie serc; słowo, które jak iskra elektryczna przebiega tłumy i rozpala dusze.

Nie grać, lecz wżyć się trzeba w rolę, wczuć w nią, bez sztucznych, a tak często zawodzących efektów, wgłębić się w charakter bohatera, aby był takim, jakim go autor mieć chce.

P. Zapolska, która w swoich utworach literackich, daje potężną prawdę życiową, takiej samej prawdy żąda od swoich uczniów i uczennic.

Dzięki tej zasadzie przerzedzą się może trochę szeregi „powołanych“ lecz „niewybranych“. Może scena polska przypomni sobie nareszcie owe świetne czasy, kiedy tragedya klasyczna nie była dla aktorów „chińszczyzną“ a role Maryi Stuart, Fredry, Hamleta i t. p. nie były szkopułem, o który rozbijają się najlepsze chęci dzisiejszych dyrektorów teatralnych. *Zofia Atisówna.*

Stowarzyszenie pomocy naukowej dla Polek zawiadamia członków swoich, iż w piątki od godziny 6 do 8 wieczorem odbywać się będą w Redakcyi „Nowego Słowa“, ulica Szewska L. 21, pogadanki z zakresu kwestyi kobiecej, oraz sprawozdania z nowszego ruchu umysłowego w kraju i zagranicą.

Pierwsze zebranie odbyło się w piątek d. 7 listopada b. r. Pogadankę zagaiła p. Kazimiera Bujwidowa zaznaczając cele Stow. pomocy naukowej dla Polek, istniejącego już od lat blizko dwudziestu, oraz zachęcając licznie zgromadzonych do gorliwego zbierania się na wspólne pogadanki. Pani Malwina Garfeinowa bardzo piękny wygłosiła odczyt o powieściach chińskich Sieroszewskiego, a p. Marcelina Kulikowska przedstawiła w wyczerpująco opracowanym referacie społeczne znaczenie powieści braci Madgueritte: Les deux Vies (dwa życia), stawiającej problem rozwodu tak żywo zajmujący współczesne umysły. Ożywiona pogadanka na temat poruszonych kwestyi przeciągnęła się przez parę godzin.

Wstęp wolny dla członków Stowarzyszenia oraz dla prenumeratorów „Nowego Słowa„ i dla gości przez nich wprowadzonych.

Praca kobiet we Francyi. Według ostatniego spisu ludności we Francyi z r. 1896, z ogólnej liczby 14,382.462 kobiet dorosłych pracuje zawodowo 6,382.652. Z tego 2 miliony 700 tysięcy kobiet pracuje w gospodarstwie rolnem, 1 milion 800 tysięcy w przemyśle, 737 tysięcy jako służba domowa, 571 tysięcy kobiet zatrudnionych jest w handlu, 160 tysięcy w komunikacyi, 4.576 pracuje w kopalniach i kamieniołomach: 120 tysięcy mniszek żyje w klasztorach. W przemyśle krawieckim, zwłaszcza przy konfekcyi, zatrudnione są przeważnie kobiety, a mianowicie pracuje w tym dziale milion i sto tysięcy kobiet, podczas, gdy mężczyzn tylko 68 tysięcy. W przemyśle tkackim pracuje równa liczba kobiet, jak i męż-

czyzn po 450 tysięcy. W metalurgicznym przemyśle na 55.116 mężczyzn zatrudnionych jest tylko 794 kobiet. Z dwóch milionów kobiet, zatrudnionych w przemyśle jedna dziesiąta część prowadzi samodzielnie przedsiębiorstwa (117 tysięcy w konfekcyi, jedna w przemyśle metalurgicznym). Płaca dzienna waha się między 9 frankami (szlifierki drogich kamien) a 1 frankiem (robotnice w kamieniołomach). Na tak zwane wolne zawody przypada 138 tysięcy kobiet, z tego jest około 400 lekarek (na 15 tysięcy lekarzy), 15 tysięcy akuszerek; 8.837 kobiet należy do personalów teatralnych, 4.000 utrzymuje się z lekcyj muzyki, a niespełna 2 tysiące kobiet zajmuje się zawodowo sztukami pięknemi. Liczby literatek nie można dokładnie określić. W każdym razie z pomiędzy nich jest 47 właścicielek pism. W służbie państwowej i gminnej zajętych jest 90.000 kobiet, z tego 14.000 w służbie pocztowej i telegraficznej, a 50.000 w nauczycielstwie.

Z Wiednia. Przy nowym tutejszym dzienniku „Die Zeit“ wychodzić zaczął tygodniowy dodatek, poświęcony sprawom kobiecym i zatytułowany: „Die Frauen-Zeit“. Dodatek ten ma jakby zastąpić wydawnictwo „Dokumente der Frauen“, które, zdaje się, roztopiło się w ten sposób w dzienniku, prowadzonym na wielką skalę.

Mam właśnie przed sobą ten dodatek. Skromne to cztery stronice, ale treść dość zajmująca. Więc, p. Henriette Fürth zajmuje się kwestyą, czy należy uświadamiać dzieci w prawach płciowych, w jakim wieku i przez kogo. Zwraca uwagę na to, że uświadomienie takie w stosownym wieku i pedagogicznej formie zapobiega wielu złym wpływom postronnym, złym nałogom, rujnującym zdrowie, że matki, uświadamiając rozsądnie dzieci swe w tym kierunku, zdobywają sobie prócz tego ogromne zaufanie i gorętszą miłość. Lecz nie każda matka ma czas i zdolności pedagogiczne, aby podjąć się tak trudnego zadania, a właściwie matek takich jest bardzo mało. P. Fürth widzi to, dlatego wkłada na szkołę obowiązek otwierania w odpowiedni sposób dzieciom oczu na te sprawy, co dotychczas niesłusznie zasłoną przykryte bywają. Lepiej wszak, żeby zasłonę tę zdjął pedagog, niż usłużny kolega lub koleżanka, pod tym względem „poinformowana“.

P. Else Hasse podnosi głos w sprawie opowiadania bajek dzieciom. Powstaje przeciwko realnym czasom, co wyrugowały cały świat fantazyi z wychowania, co pozbawiły dzieci tych cudowych, złotych snów na jawie, o których do końca życia pozostawało najdroższe wspomnienie. Wyraża nadzieję, że świat baśni zwróconym będzie dzieciom, jako wysoce pedagogiczny środek rozwoju zdrowej — nie chorobliwej — fantazyi.

Dalej, dr Max Flesch mówi o kongresie we Frankfurcie, w celu zwalczania handlu „żywym towarem“. Wreszcie kończy się dodatek notatkami o związku kobiet-antyalkoholiczek, o związku nauczycielek węgierskich, o doktoracie filozoficznym p. Anny Lüderitz, na berlińskim uniwersytecie itp. Jak widać z treści, więcej tu kwestyi czysto pedagogicznych, niż kobiecych. Zobaczymy, co będzie dalej. *S. K.-K.*

TADEUSZ RAWICZ ŚWIĄTEK.

ZADUSZKI.

Pod duszy mojej gotyckie arkady
O jesiennym mi zmroku, przy gromnic pożarze
Snują się jakieś dziwnie znajome mi twarze,
Dziewczą białych procesya. Łun lecą kaskady

W twarze blade przez okien płomienne witraże.
.....Nimfy idą przez chramu mego kolumnady
W bioder i piersi przepychu — Najady —
Modlić się pod najświętsze duszy mej ołtarze?.....

A może te, co kładły czyste, jak gołębie,
Usta swoje gorące na ócz moich głębie?.....
Każda chyli się do mnie i szepcze: „Pamiętasz.....?“

A w oczach ma od zgonu słodsza omdleń szały.....
— To jest mych tęsknot orszak oniemiały,
Na marzeń moich idący dziś cmentarz.

R. L. STEVENSON.

WILL Z MŁYNA.

CIĄG DALSZY.

Marjory zdala się ucieszoną jego widokiem, podała mu rękę bez wahania i bez wymuszenia.

— Myślałem o owem małżeństwie — zaczął Will.

— I ja myślałam — odrzekła Marjory. — I szanuję pana coraz bardziej, jako człowieka prawdziwie mądrego. Zrozumiał mnie pan bardzo dobrze, ja sama się tak dobrze nie rozumiałam; i teraz jestem pewna, że jak jest, jest najlepiej.

— Równocześnie... — zauważył nieśmiało Will.

— Musi pan być zmęczony — zagadnęła go Marjory. — Proszę usiąść, zaraz panu przyniosę wina. Jest bardzo gorąco dzisiaj, a nie chciałabym, aby pan z żalem myślał o tych odwiedzinach. Powinien pan częściej przychodzić, raz na tydzień przynajmniej. Zawsze się cieszę, gdy zobaczę któregoś z przyjaciół.

— Ano doskonale! — pomyślał Will. — Zdaje się, że jednak miałem słuszność! Po odwiedzinach był więc w doskonałym humorze i nie myślał już wcale o tej sprawie.

Przez trzy lata Will i Marjory widywali się raz lub dwa razy na tydzień, a żadne słówko miłości nie mąciło im zgodnego spokoju; a przez cały ten czas Will był mniej więcej zupełnie szczęśliwy, o ile nim człowiek być może. Na przyjemność widzenia jej pozwalał sobie nieczęsto — kosztował jakby drobnemi dawkami. Czasem wracał z połowy drogi, jak żeby zaostrzyć sobie pragnienie. Był szczególnie jeden kącik na rozległym wijącym się gościńcu i stamtąd Will spoglądał na dzwonnicę wciśniętą niejako klinem w dolinę i sterczącą wśród pagórków pokrytych sosną, na tle trójkątego szmatu równiny. Miejsce to umiłował bardzo, albowiem tam najlepiej było usiąść

i rozmyślać przed pójściem do domu. A wieśniacy tak dalece przywykli do tych codziennych jego przechadzek o zmroku i do tego ulubionego jego kąta, że nazwali go „kątem Willa z Młyna“.

Po upływie trzech lat Marjory zadały mu cios stanowczy, albowiem niespodzianie wyszła za innego. Will nie stracił równowagi, zauważył tylko, że jak na człowieka, nie znającego niewiast, dobrze uczynił, że nie ożenił się z nią przed trzema laty. Ostatecznie bowiem brakło jej wszelkiej samodzielności ducha, a czarujące jej obejście tak samo było zmienne i nieuchwytne, jak u wszystkich innych kobiet. Pomyślał więc, że raczej szczęście go spotkało, i że ta jego ucieczka była krokiem dobrym. Tem większą przypisywał zasługę swojej roztropności. Lecz w głębi serca czuł gorycz; przez dwa lub trzy miesiące chodził zadumany, a nawet zmizerniał, ku wielkiemu służby swojej zdziwieniu.

W rok po ślubie Marjory, Will zerwał się nagle pewnej nocy ze snu, albowiem doszedł go z gościńca tentęt kopyt końskich; wkrótce potem mocno zakołatano do bramy. Otworzył okno i ujrzał pachołka, który, nie zsiadając z konia i wskazując na drugiego wierzchowca, prosił, aby pan zechciał jak najprędzej pojechać na probostwo. Will nie był dobrym jeźdźcem tak, że biedna kobieta już niemal dogorywała, gdy wreszcie się zjawił. Lecz zdołali jeszcze kilka chwil uszczknąć samotnych. I Will gorzkie wylewał łzy, gdy patrzył, jak Marjory ostatnie tchnienie wydawawała.

ŚMIERĆ.

Lata szły za latami, w miastach na równinie toczyły się swary wielkie i wybuchały gniewy ludzkie. Wzniósł się czerwony bunt i stłumiono go we krwi, walka rozpasała się tu i owdzie, cierpliwi astronomowie w swoich wieżach obserwacyjnych odkryli i ochrzcili nowe gwiazdy, grano dramaty w teatrach pełnych jarzących się świateł, niejeden na noszach powędrował do szpitala, i rozgwar, ruch i gorączkowy niepokój nadal wielmożnił się w ludowych widowiskach. Tam w górze, w kotlinie Willa, jedyne jeszcze wichry i pory roku znaczyły się karbami w pamięciach ludzkich. Ryby nadal chowały się w wartkiej rzece, ptaki zataczały kręgi nad głowami, wierzchołki sosen szemrały pod gwiazdami, wysokie góry panowały nad tem wszystkiem; a Will chodził tam i sam, ulepszać gospodarstwo, aż śnieżność zaczęła mu się wzmagać na głowie. Serce miał silne i zahartowane; puls bił spokojnie i mocno. Czerwone plamy barwiły mu policzki. Był nieco zgarbiony, lecz krokiem szedł pewnym i wszyscy ludzie ściskali mu nerwowe ręce przyjaźnie. Twarz pokryła mu się owemi zmarszkami, które od świeżego pochodzą powietrza, a które, gdy się bliżej przyjrzeć, zdają się zastygłym na zawsze promieniem słońca. Takie zmarszczki potęgują głupotę na twarzach głupich. Ale takiemu człowiekowi jak Will, patrzącemu na świat jasnemi oczami i wargą uśmiech-

niętą, przydawały uroku i świadczyły o życiu łagodnem. Rozmowa jego pełną była mądrych powiedzeń. Kochał bliźnich i oni jego kochali. Gdy w czasie swoim kotlina zapełniała się turystami, przepędzano wesołe noce w altanie Willa; a jego poglądy, tak dziwaczne w oczach sąsiadów, uchodziły często za świetne w oczach ludzi z miast i uniwersytetów. W istocie też była to starość nad wyraz szlachetna, a szlachetność ta z każdym dniem coraz bardziej wychodziła na jaw. Tak dalece, że sława jego doszła aż do miast na równinie. Młodzi ludzie, którzy latem zwiedzali góry, opowiadali w kawiarniach o Willu z Młyna i omawiali jego sielską filozofię. I proszę wierzyć, że niejedno otrzymał zaproszenie, nic go jednak nie zdołało wyruszyć z wysokiej kotliny. Potrząsał głową i uśmiechał się w sposób, który wiele dawał do myślenia. „Przychodzicie za późno mówił ten uśmiech. Teraz jestem już człowiekiem martwym. Żyłem i już umarłem. Lat temu pięćdziesiąt, a serce by mi się darło na takie słowa; a teraz nawet mnie nie nęcicie. Albowiem, kto żył długo, traci ciekawość dla życia". Mówił również: „Jedna różnica jest tylko między długiem życiem, a dobrym obiadem, ta, że na dobrym obiedzie słodycze zjawiają się pod koniec". Alboteż: „Kiedy byłem dzieckiem, byłem trochę niezaradny i nie wiedziałem kto bardziej ciekawem jest widowiskiem, świat czy ja. Teraz wiem, że ja — i tego się trzymam".

Nie okazał nigdy ani śladu słabostki, był stanowczy i mocny, aż do samego końca; lecz powiadają, że ku końcowi mniej był rozmowny i wolał raczej słuchać wywodów innych ludzi, a czynił to bardzo pobłażliwie. A ilekroć sam mówił, bardziej był do rzeczy i niemało dował dowody rozległego doświadczenia. Chętnie wypijał butelkę wina, szczególniej o zachodzie słońca albo późną nocą w altanie pod gwiazdami. Widok rzeczy ponętnej a nietykalnej zaostrzał mu radość, mawiał; i powiedział kiedyś, że żył dość długo i tem więcej podziwiał świecę, im łatwiej mu było porównać ją z planetą.

Pewnej nocy, a miał już wówczas lat siedmdziesiąt dwa, zbudził się nagle ze snu, i poczuł na ciele i duszy dziwną markotność, że wstał, ubrał się i poszedł do altany. Noc była ciemna i chmurna. Rzeka była wezbrała a wilgoć lasów i łąk przepajała powietrze wonnością. Za dnia burza szalała w górach i zapowiadała się burza na jutro. Istotnie noc ponura i przygnębiająca dla człowieka siedmdziesięciodwuletniego! Bądź skutkiem upału, bądź skutkiem bezsenności, bądź też wreszcie skutkiem lekkiej febry, która opanowała stare członki, umysł Willa oblegly wspomnienia tłumne i hałaśliwe. Dziecięce czasy, noc spędzona na rozmowie z otyłym młodym człowiekiem, śmierć opiekunów, dni letnie spędzone z Marjory i całe mnóstwo drobnych szczegółików, które niczem są dla drugich, lecz które stanowią rdzeń życia każdego człowieka, — rzeczy widziane, słowa zasłyszane, spojrzenia rzucane — wydostały się teraz z swych kryjówek i obległy mu głową. Sami nawet zmarli się pojawili, a w tym korowodzie wspomnień nietylko odgrywali rolę swoją niezwykłą, lecz wprost na nowo uczepiali się jego zmysłów, jak to

czynią we śnie bardzo głębokim i ożywionym. Młody otyły człowiek wsparł się łokciami na stole, tuż naprzeciw niego; Marjory szła tam i sam po ogrodzie i zrywała kwiaty, które wrzucała do fartuszka; mógł słyszeć, jak stary pastor uderzał fajką o stół, żeby ją wypróżnić, albo jak wielką chustką obcierał nos. Patrzył na przypływ i odpływ swojego wewnętrznego poznania. Chwilami, na pół sennie, grążył się w wspomnieniach czasów minionych; a chwilami budził się zupełnie i dziwił się sobie samemu. Lecz gdzieś nad ranem osłupiał niemal, posłyszawszy głos zmarłego młynarza, który wołał go do bramy, jak to zwykle czynił dawniej, ilekroć jakiś gość zajeżdżał. Złudzenie był tak zupełne, że Will zerwał się na równe nogi i jął nadsłuchiwać, czy wołanie się nie powtórzy; i kiedy tak słuchał dostrzegł wśród szumu rzeki i dzwonienia w uszach inny jeszcze szmer. Był to tętent kopyt końskich i dzwonienie uprzęży przed bramą wjazdową. O takiej godzinie i w takiem miejscu niedostępnem! jakaż myśl niedorzeczna. Will odpędził ją i zasiadł znowu; i znowu sen spłynął nań niby woda tocząca się falami i znowu zbudziły go wołania młynarza, tym razem słobsze i bardziej upiorne; i znowu doszedł go turkot wozu na gościńcu. I tak trzy lub cztery razy tensam sen czy też to samo złudzenie narzucało się jego zmysłom, aż wreszcie uśmiechnął się i jakby ustępując kapryśnemu dziecku poszedł do bramy, żeby usunąć zawory i rozstrzygnąć tę niepewność.

Chociaż było zaledwie do bramy kilka kroków, to jednak Will szedł dość długo. Zdawało mu się, że zmarli tłumnie otaczali go zewsząd i stawali mu w drodze na każdym kroku. Albowiem najpierw uderzyła go nadmiernie woń heliotropów. Rzekłbyś, że cały ogród zapełnił się tymi kwiatami i że noc ta wilgotna i ciepła jakby w jednem swem tchnieniu skupiła wszystkie ich wonie. Heliotrop był ulubionym kwiatem Marjory, a od jej śmierci nie widziano żadnego heliotropu w ogrodzie Willa.

— To musi być obłęd — pomyślał. — Biedna Marjory, te heliotropy.

(C. d. n.)

ZOFIA STRZETELSKA.

Z OSTATNICH ZBIORÓW.

I.

Nikt nie twierdzi i nie może twierdzić, że poezya naszych najmłodszych jest tem, czem była poezya, która ducha epoki minionej w śmiertelny kształt ujęła, która go w pomnikowo zaklęła objawienie. Nie jest ona zasadniczym kształtem tego objawienia, pomimo że podobnie jak tamta — waryacyą nie będąc — jest tak samo lekceważoną przez dzisiejsze inteligencye zachowawcze, zgruboskórniałe w swym klasycznym już teraz, skamieniałym romantyzmie, głuchym na subtelne dźwięki tonów nowożytnych, ślepym na elektryczne fale nowożytnych źródeł.

Nie jest poezya nasza dzisiejsza wyrazem potężnej, pełnej epoki nowej, ciosanej dłutem pracownika olbrzyma, lecz zaprzeczyć nie można, że ma swoją wartość oryginalną, jest koniecznym wyrazem epoki swojej, a

nie samem naśladownictwem tylko poezyi owej zasadniczej, nie samą jej koloraturą tylko, nie ozdobnikami jedynie, w wielkim eposie naszym poetycznym. Nie jest ta poezya żebraczką, żywiącą się okruchami stołu pańskiego.

Z tym wyrazem „naśladownictwo“ wypadałoby raz rozprawić się gruntowniej, choćby i z tego względu, że tego, który w epoce tak zwanej romantycznej, z taką pychą, przez krytyków, jako naśladowca — zlekceważonym został, nagle uznano za ojca duchownego naszych Najmłodszych, za twórcę jakiejś szkoły, za źródło natchnienia dla poetów naszych tegoczesnych.

Bo i jak tu pogodzić to podnoszenie Słowackiego do potęgi, z tem, dziś jeszcze wygłaszanem zdaniem, że poeta ten był jedynie wirtuozem-wykonawcą, co najwyżej mistrzem w wykonywaniu pomysłów cudzych że „on tylko ze zręcznością skoczka cyrkowego“ pokazywał różne zadziwiające, ale zawsze sztuczki tylko, od wprawy i wysiłku zależne, na arenie, gdzie wielcy nasi byli twórcami programu epokowego.

Wszak w ten sposób najmłodsi nawet krytycy nasi, dosiadając starej szkapy, chcą zdobyć ostrogi w wyścigu literackim. Inni za to, nie rozprawiając się nawet z tymi rycerzami i jakby nie wiedząc o ich opiniach, podają znów jako pewnik, że duch Słowackiego „położył niespodzianie ręce nawet na strunach tej“, o której głoszono dotąd, że jest samą sobą, która też mówi o sobie:

Samotna idę wśród ciszy tej, drogą,
Którą też ludzkich wskazują mi ślady,
Ale o hasło nie proszę nikogo.
. . . .
Wszak to fala gra,
Moje tylko a nie czyje
Serce, to co pieśnią bije,
Moja tylko łza.

Jakże świetnie dowodzi tu poetka, że pieśniarz gra o tem, czem gra ludzka fala, a nie koniecznie dlatego, że inni przed nim to opiewali.

I pewnym jest, że Konopnicka mogła być, choćby przed nią żadnego nie było Słowackiego; a jednak są tacy, którzy twierdzą, że „poezya Konopnickiej jest lirycznem, przystosowaniem testamentu Słowackiego“, że nawet w dźwiękach jej języka „słychać szelest, królewskiego ducha „Juliuszowego“ a „w jej sercu walczy wciąż Krasiński ze Słowackim“ oto co mówią o niej ci, którzy twierdzą, że „wyschnie nawet patryotyczna woda w Oblęgorku, przebrzmią homeryczne zwycięstwa trylogii“ a poezya Konopnickiej będzie należeć tam „gdzie wielka nieśmiertelna, potężna Poezya Polska, ten cud nad cudami, ten wielki ogień, co niszczy nasze więzy, a światłem swem zalewa wszystkie nasze horyzonty“.

Jakżeż to wszystko da się pogodzić z tem maniackiem tworzeniem systemu planetarnego w wytwórczości duchowej; systemu, w którym koniecznie muszą być, z wzgardą traktowane — satelity, księżyce obumarłe, światłem pożyczanem świecące gwiazdy, pierwszego, drugiego i trzeciego rzędu.

Jak to pogodzić z tą pewnością, jaka cechuje tych krytyków, którzy jak nauczyciele w szkole, obliczywszy liczbami pisane noty, z matematyczną rzekomo sprawiedliwością klasyfikują autorów na celująco, bardzo dobrze, dobrze i t. d., którzy potrafią wyśledzić i odważyć w cetnarach, kilogramach i gramach pierwiastki oryginalne lub naśladownicze w każdym utworze, i według tego podzielić twórców na geniusze, prawie geniusze (o Konopnickiej napisał ktoś, że jest prawie genialną) talenty itd. Gotowi są nawet żreć się na śmierć między sobą o te noty wpisywane do katalogu literackiego, a tymczasem ogół nieuczony rzecz rozstrzyga; on poznaje się najlepiej na wartości autorów.

Tacy też krytycy zwykle nie poznają się na genialności, tak, jak nie poznali się klasycy na romantyzmie, jak dotąd nie może poznać się Tarnowski na Słowackim, a Mazanowski na „Młodej Polsce“.

Nie stoi wprawdzie — powtarzam — ta Młoda Polska w tym samym stosunku do poezyi romantycznej, w jakim ta znalazła się wobec nie rozumiejącego zjawisk nowych — klasycyzmu, a jednak byłoby bardzo właściwem, gdyby przestano raz poniżać twórców okresu mniej wybitnego za to, że pieśni ich bez wielkiej treści, przy-

pisywać winę im, a nie epoce; gdy błędem ich bywa to tylko czasem, że się nie urodzili w epoce wielkiej, że nie byli tak szczęśliwymi, jak ci „wielcy“, którym dano przyjść na same żniwa duchowe epoki swojej.

Czas już na zrozumienie, że bezwzględne ubóstwienie tych wielkich, domierzanie każdej wartości do ich potęgi, kamieniejącej jednak pomnikowo — coraz bardziej, staje się nawet szkodliwem wobec wartości rzeczy nowych, wobec praw, którymi musi rządzić się sztuka, jeżeli chce właśnie tworzyć rzeczy wielkie, a więc świeże, a więc postępowe.

Bo i czemże jest twórczość poety-artysty, jeżeli nie odtwarzaniem tego, co stworzyła dotychczasowość, w przyszłość wybiegająca! Żaden z nich, najgenialniejszy nawet, sam ze swego ducha nie tworzy, nowych rzeczy nie wysnuwa bez owego tła światowego, na którem osnuwa swe dzieła, którego jest wyrazem, koroną. Nie tworzy on nic bez kształtów już objawionych, lub odczuwanych przez niego w przyszłości, bez form, posuwających w doskonałości objawienie duchowe, a więc zaprzeczających po części formom już objawionym, a jednak wysnuwanym zawsze z tego, co już było.

Zapewne, że większym jest ten malarz, który maluje z natury i niema przed sobą artystów wielkich, niema dzieł, w których danym już został wzór, jak się z natury malować powinno. Lecz któż zaręczy, że ten, który później przyszedł, nie doszedł by był do tego samego co poprzednik jego. Cóż winien ten młodszy, że się później urodził, że już w zasadniczych rzutach oddanem zostało to, co epoka wielka dała, a dla niego zostało to, co się po wielkiej epoce odrodzenia jako naśladownictwo, jako eklektyzm, barok, lub nawet rokoko objawiło. Wszak wartość twórcy oryginalnego, który zawsze odtwórcą jest tylko, zależną jest od epoki, w której przyszedł, by odtwarzać z natury, z przyrody, z dokumentu ludzkiego.

Jeżeli ten dokument dojrzał do potęgi, dobiegł do swego kresu najwyższego w pewnym kierunku, niewyzyskanym jeszcze, jeżeli wypełnił się okres pewien, jeżeli ludzkość, z której ten mistrz wyrasta, przygotowała żniwo, a żniwiarz ten właśnie przyszedł na chwilę zbioru... wtedy łatwo mu zasłużyć na miano dobrego, genialnego pracownika, choćby on nawet jak Mickiewicz, zaczął tworzyć, potrącony przykładem romantyków obcych. Ale cóż robić ma ten choćby najdzielniejszy żniwiarz, który przyszedł już po żniwach?! Cóż mają robić ci, dla których chwila spółczesna niema już kłosów na łanie, nie ma nieodtwarzanych już kształtów, do odtworzenia?!

Tacy dręczyć się muszą, tak, jak się dręczył Słowacki, który nie znalazł już pełnych kłosów na łanie ziętym, nie znalazł już doborowego, wczas dojrzałego zboża, zrodzonego z posiewu całej pracy wiosennej.

Spóźnieni u schyłku żniwa owego, zrodzeni przed siewem nowym, tem więcej cierpieć muszą, im większą jest siła ich geniuszu, który pragnie tworzyć a nie ma z czego, który szuka rzeczy wszelkich a nie znajduje, któremu nawet ziarna na zasiew nie zostawiono.

Duch twórczy staje się dla tych spóźnionych pracowników przekleństwem wtedy.

O tych pracownikach mówi się w pierwszym okresie ich działalności, t. j. gdy przerabiają, wysubtelniają dorobek żniwa pełnego, że są naśladowcami, że im brak geniuszu, że są talentami tylko; a w drugiej, to znaczy wtedy, gdy wybiegają w przyszłość, dla ogółu całkiem nieznaną, mówi się, że są niezrozumiałymi, albo wprost szalonymi ich się nazywa. Mówi się o nich wtedy, że są wirtuozami tylko, nie kompozytorami. I gdzież im stawać obok geniuszy, piąć się do nich z pychą, gdzie głosić i przeczuwać, że są, „jak dwa na słońcach swych przeciwnych bogi“. Nie dość, że cierpią z braku pokarmu duchowego, z braku idei i jej wyczerpanych już wcieleń, nieuznani, niepodsycani współczuciem ogółu, wątpić muszą sami o sobie i brać za prawdę zarzuty tego ogółu, który nie zna prawdy słów następujących:

Napróżno wołać będziem, że tak czczo dokoła,
Kłąd poetów, że pieśni ich bez wielkiej treści;
By zaśpiewali trzeba pierwej archanioła,
I odrodzonej w świecie — betlejemskiej wieści.

Aż kiedy wyszydzeni, w zwątpieniu zejdą oni ze świata, kiedy czasem niepodobna nawet odszukać kości ich — w proch się rozsypujących, przychodzi wreszcie chwila, że ten bóg drugi, który ma zajaśniać na słońcu swojem, ogrzać i do wzrostu pobudzić ziarno, przez nich w grudę posiane, na przepadłe zda się... wtedy bóg ten w ich zapomniane dzieła wcielony, staje się bogiem epoki nowej, twórcą żniwa naszego.

I oto widzimy, że kłosy tych żniw nowych w poezyi naszej kiełkować już zaczynają.

Wszak tyle nowego jest w tej naszej poezyi młodej. Takie w niej wyraźne już uzupełnianie tego, co przeczuwał Słowacki.

W wyzwaniach jej, bluźniących dawnemu duchowi, domagających się wyraźnego kształtu dla ducha, dla Boga swojego, który ma być coraz realniejszym w duchu, a duchowniejszym w formie, jest święta męka twórców, stojących na granicy, między schyłkiem jednego okresu, a narodzinami drugiego, kędy owe młode niegdyś żywioły i pierwiastki już się postarzały, zachowawczymi zrobiły... a nowe jeszcze nie zrodziły, nie dojrzały. Jest w nich ta święta męka ducha Juliuszowego, który w pół wieku przed tym okresem w współczesności swojej dojrzał jako poeta przyszłości i czuł tak jak ci, którzy dopiero w pół wieku po nim tak jak on czuć zdołali.

Lecz mękę tę przejść oni musieli, chociażby i jego przed sobą nie mieli.

Nad niwą naszą poetyczną zadzwonić musiała pieśń Konopnickiej, która jest samą sobą, pomimo, że jest także przystosowaniem testamentu Słowackiego. Musiała ona oddźwięknąć tem, czem częściSłowackiemu. Tak samo bez pomocy Słowackiego zrodzić się mogła i musiała uszlachetniona pieśń ludu, pieśń udostojnionego na duchu Grabca, poezya, któraby mogła stać się zmartwychpowstałym duchem ludu, Aliną. *)

Bez Słowackiego nawet musieliby wstać harfiarze Wenedów, którzyby zdołali nareszcie wygrać pieśń zwycięską, której Słowacki pragnął a usłyszeć nie mógł, ni wygrać — wziąwszy zadanie przewyższające siły, ówczesnego — choćby geniusza nawet.

Bez Słowackiego i Krasińskiego musiała się rozegrać walka, jaką oni toczyli ze sobą. Bez Mickiewicza musiałby był przyjść taki sam Król-Duch, wódz Legionu Wyspiańskiego.

Krom i pomimo Matejki, wykształcić się musi z niemowlęctwa swego, zgubiona, rodzinna sztuka Polski, czekającą dni lepszych dla subtelności swojej, okresu, w którym broń duchowa będzie narzędziem walki.

Jest w tej Młodej Polsce nietylko przystosowanie, ale i rozwinięcie testamentu Słowackiego.

Jest w pieśni Konopnickiej wyższy już stopień w walce kształtów — o doskonałość, która się już w dźwiękach prawie samych rozgrywa, która odpowiada duchowi dzisiejszemu. Jest w niej rozwinięcie sztuki formą najlotniejszej, jest muzykalność wielka.

Jest w poezyi Najmłodszych wytwórczość na samym dźwięku polegająca, wchodząca w sfery, gdzie mięknie tendencya walki cielesnej, gdzie walczą duchy tylko, gdzie niewidzialne moce zabijają ciało — pragnieniem ducha, kierują losami ludzi i narodów. wchodzą do ich domów przez drzwi

cie niewidzialnym, złączonym jednak z widzialną ludzkością nićmi duchowemi, a więc mocnemi, niezniszczalnemi wobec broni cielesnych.

Poezya ta uszlachetnia już najlichsze nawet istnienie ziemskie, toczy walkę o społeczne prawa owych milionów mrówczych i słabszych fizycznie istnień.

Jest w poezyi tej rozpacz tych, którzy zbydlęceniem swem nawet dowodzą, jak nie wystarczającą jest etyka dotychczasowa, tylowiekowa mistrzyni ludzkości, jak musi stać się doskonalszą, jeżeli zechce działać.

Jest w tej poezyi niepohamowana moc, wyzwalająca ludzkość, która po tysiącleciach tresury i kaźni wychowawczej, wysłużyła sobie nareszcie kodeks wolniejszy, lot swobodniejszy, aż po nad chmury, by obejść się bez ziemi, by przestać walczyć o glinę prostą, o obszary grubo materyalne.

Jest w tej poezyi wiele z tego, co przeczuwał Słowacki, są myśli jego w pełniejszy kształt wcielone; a choć niema jeszcze wiele z tego, o czem on marzył, są rzeczy, o których nie marzył jeszcze.

Błędnem jest tylko hasło tych Młodych, którym się zdaje, że nie powinni tworzyć dla idei, że nie tworzą dla niej, że nie widzą — jako i w majowych śpiewach słowiczych, w każdym tonie języka, brzmiącym harmonijnie czy drapiącym zgrzytami dysonansu — jest myśl, jest cel, jest idea i tendencya, zasadzające się na dążeniu kształtów do doskonałości, coraz to ulotniejszej, duchowniejszej coraz. D. c. n



Książki nadesłane do Redakcyi: *Marya Konopnicka:* „Italia“, tłómaczona z polskiego, przez Paolę Maternovą. — *Dr Zygmunt Gargas:* „Staszyc jako statystyk“. Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego 1902. — *Dr Gabryel Zygt:* „O polską naukę!“. Kraków. Nakładem wydawnictwa „Krytyki“. 1902. — *Marcin Wroński*: „Pogadanka z dziedziny gospodarstwa społecznego“. Lwów. 1900.